

DEZSŐ
KOSZTOLÁNYI
DOM
KŁAMCZUCHÓW

Przełożyła i postowiem opatrzyła
Teresa Worowska



DOM KŁAMCZUCHÓW

To była sławna, stara rodzina, z jakimś niezwykłym pochodzeniem i tajemniczą patyną średniowiecza; mieszkali w piętrowym domu w centrum miasteczka.

Kiedyś byli Ormianami czy Hiszpanami, potem przez wieki przyjmowali wszelkie domieszki mocnej, pikantnej krwi, wzbogacili się, zdobyli szacunek i mogli się pochwalić licznymi przydomkami oraz zardzewiałym herbem.

Mężczyźni przypominali leopardy, kobiety – rysie. Nigdy nie widziałem tak wspaniałych ludzi. Gdy byli mali, omijały ich choroby dziecięce, a starzy, nawet po siedemdziesiątce, chodzili wyprostowani, bez lasek i okularów.

Pewnego ranka, kiedy z najmłodszym synem rodziny szedłem do szkoły, powiedział:

– Coś ci zdradzę. – Zatrzymał się i popatrzył mi w oczy. – Wczoraj wieczorem byłem z ojcem na Księżycu.

Ze zdumienia i zazdrości nie mogłem wykrztusić słowa.

– Ojciec ma małe elektryczne urządzenie – ciągnął. – Takie małe jak pudełko zapalek. W ciągu dwóch i pół minuty ono nas tam zabiera.

– I śpicie tam?

– Oczywiście, mamy na Księżycu dwa łóżka.

– To niemożliwe – powiedziałem, ale dalej wypytywałem go o sposoby podróży na Księżyc, a przyjaciel zdradzał mi je punkt po punkcie. Opowiadał bez mrugnienia powieką, bez zajknięcia. Zacząłem go błagać, by przyznał się, że skłamał. Nie miał najmniejszego zamiaru.

Później oświadczył, że powieści Jókaiego pisze właściwie jego krewny, wujaszek Géza.

Wiedziałem już wówczas, kim był Jókai. Matka widziała go w roku milenijnym i wiele opowiadała o jego wysokiej sylwetce, niebieskich oczach i siwej peruce. A poza tym znałem wujaszka Gézę. W zielonym myśliwskim kapeluszu z pędzelkiem z dziczej szczeniaki przejeżdżał jesienią chłopskim wozem przez miasteczko. Polował na zające i nam też często podrzucał ustrzelonego szaraka. Nie sądziłem, że jest tak mądry jak Jókai, i w ogóle cała ta opowieść wydała mi się niewiarygodna. Ale Károly wyjaśnił, że wujaszek Géza pisze te powieści w domu, po czym wysyła je pocztą do Budapesztu, gdzie tylko ze skromności wydaje je pod nazwiskiem Jókaiego, który jest bliskim przyjacielem rodziny. I często ich odwiedza. Ale tylko nocą, żeby nikt go nie widział.

Każdego dnia witał mnie podobną nowością. Pewnego razu przechwalał się, że ma prawdziwego krokodyla w wannie, kiedy indziej, że tygodniowo otrzymuje od matki tysiąc koron kieszonkowego, które wydaje na trzymane za miastem własne konie. Te opowieści bardzo mnie irytowały. Postanowiłem nawet, że otwarcie zadam mu kłam, ale kiedy zaczynał opowiadać, traciłem odwagę i słuchałem dalej, bo naprawdę mnie to ciekawiło.

– Co wy dostajecie na śniadanie? – spytał mnie kiedyś.

– Kawę.

– A my, wyobraź sobie, czekoladę i winogrona. A ile macie pokoiów?

– Trzy.

– A my piętnaście. Cztery pokoje nad ziemią, a jedenaście pod ziemią, żeby ludzie nie widzieli.

W końcu udało mi się przekroczyć próg ich domostwa.

Z biciem serca otworzyłem furtkę i znalazłem się na wysypanym drobnymi kamyczkami podwórzu. Łagodny ogar wyszedł mi naprzeciw. Świeciło mocne letnie słońce, na szybach okien błyskały tęczowe koła, a ja, całkowicie poddając się nastrojowi obcego miejsca, stałem tam jak zaczarowany. Po drugiej stronie podwórza niczym obrażone książniczki spacerowały pawie i skrzeczały zardzewiałym głosem.

Drzwi prowadzące do ogrodu otwarły się i z książką w ręce wyszła dziewczyna, wysoka i szczupła. Za nią ukazały się jeszcze dwie i trzech mniejszych chłopców, których nie znałem.

– Czy Károly jest w domu?

– Nie ma go – odpowiedzieli naraz.

W następnej chwili Károly pojawił się w drzwiach. Nikt się nie zdziwił. I jakby nigdy nic, zaproszono mnie do pokoju.

– Mój drogi – powiedział Károly – przepraszam, ale dziś nie mogę ci pokazać wszystkich pokoiów, ponieważ ojciec wyjechał i pozamykał je na klucz.

Ale i bez tego było co oglądać. W mrocznym korytarzu wisiała żelazna klatka, w której kuliła się papuga i uparcie powtarzała jedno zdanie.

– Stefánia – krzyknął mój kolega do siostry – gdzie jest ta strzelba, którą otrzymaliśmy od niemieckiego cesarza?

– Jest zamknięta – odpowiedziała siostra i czytała dalej.

– Jest zamknięta – powtórzył prędko Károly. – Ale popatrz na ten sztylet, to podarunek od szacha perskiego. Ojciec jest bliskim przyjacielem szacha. Zobacz, jak lśni.

Wzięłem go do ręki, żeby się mu przyjrzeć.

– Malvin – spytał drugiej siostry – a gdzie jest złoty miecz?

– Zaniesiono go do naprawy.

– Zaniesiono go do naprawy – powtórzył. – Ale spójrz na ten jatagan, jeden z naszych przodków przywiózł go z bitwy pod Mohaczem. Wart jest sto tysięcy koron, zgłosiło się po niego muzeum, ale my go nie damy. Prawda, Krisztina?

– Tak – potwierdziła Krisztina.

Oglądałem to wszystko oszołomiony, bo nigdy o czymś takim nie słyszałem, i nim zdołałem ocknąć się z zaskoczenia, już podawano mi nowy przedmiot. Mówili wszyscy naraz. Wprost tłoczyli się wokół mnie, żeby coś powiedzieć i przerywali sobie nawzajem. Miałem wrażenie, że znalazłem się w krainie baśni. W czterech małych, niskich pokoikach znajdowało się wiele osób, nie tylko chłopcy i dziewczęta, ale także siwe ciotki, babki i krewne, które tu mieszkały, robiły na drutach czy na szydelku i grały w karty. Wysiadywały we wnękach okien, na wysokim podium, na które prowadziły dwa stopnie. Przywoływały mnie do siebie i z wielką radością tak mocno całowały w usta, że brakło mi tchu.

– Złoty kwiatuśku – mówiły. – Brylanciku. – I przytulały mnie do płaskich piersi.

– Proszę pani – zwróciłem się do jednej z nich – czy to prawda, że tu kiedyś na podwórze spadła gwiazda?

Starsza pani potwierdziła kiwnięciem głowy, pokazała, że gwiazda była wielka jak stół, i dalej kładła pasjansa.

Zajęła się nami inna ciotka, wyższa. Często opowiadała o swoim dawnym majątku, w którym rosły jabłka wielkie jak kabaczki i orzechy wielkie jak dynie. W jej starych oczach podczas tej relacji odbijało się całe bogactwo Kanaanu. A wieczorem opowiadała nam straszne bajki. Dwieście wilków z pianą na pyskach gonilo sanie hrabiego, które pędziły przez śnieżną pustynię. Dzieci piszczały w ciemności, a kiedy w końcu sanie szczęśliwie zajechały przed pałac, klaskały.

Miałem nadzieję, że zdemaskuję przyjaciela w jego własnym domu, ale pojąłem, że otoczony jest przez samych sprzymierzeńców i porusza się wśród nich bardzo pewnie. Rozejrzałem się. Na ścianach wisiały wielkie chińskie wachlarze i złote motyle. Stół na środku jadalni ustawiono na podium, co upodobiało ją do sceny teatralnej, a tych, którzy po nim chodzili, do aktorów. Dziewczęta stawały na tym podium i odchylając głowę do tyłu, patrzyły w dal. Nad wszystkim unosiła się duszna atmosfera rodzinnego ciepła, południowe gorąco wybujałej żądzы życia, od której świeciły się oczy, a serca biły prędeż.

Wkrótce zjawiała się matka, kobieta z wysoko zaczesanymi włosami, mocno upudrowana, w złotych bransoletach, i teatralnym gestem podała mi miękką dłoń do ucałowania.

– Pocałuj ją w rękę – napomniano mnie głośno.

W sąsiednim pokoju wielki stół w kształcie podkowy nakryto już do podwieczorku na dwadzieścia osób.

– Czy dziś też będzie czekolada?

– Nie, będzie kawa – odpowiedziała matka, na co spojrzałem na nią z kwaśną miną. – Ale jaka kawa! – dodała, i aby wzbudzić we mnie ciekawość, wysoko uniosła brwi.

– Ta, którą przysłał wujaszek Imre? – spytał mój przyjaciel. – Wujaszek Imre ma w Portugalii kopalnię srebra, to bardzo bogaty człowiek.

– Skosztuj jej tylko, synku, a zobaczysz, jaka dobra.

W mojej filiżance parowała blada, mleczna ciecz, długo ją mieszałem, nim zebrałem się w sobie, zamknąłem oczy i wypilem. Gruby kozuch, którego się brzydziłem, przywarł mi do podniebienia, mleko miało smak gipsu, a kawa – polewy do ciast. Ale matka nie zdejmowała ze mnie hipnotyzującego wzroku.

– Prawda, jaka pyszna?

– Pyszna – wyjąkałem i poprosiłem o szklanekę wody, by spłukać smak kawy.

– A teraz dostaniesz coś jeszcze lepszego – powiedziała i wsunęła mi do ust cukierka. – Kalifornijska miodowa pralinka.

Był to zwykły karmelek, ale ponieważ wszyscy tak go chwalili, dałem sobie wmówić, że jest trochę słodszy od pospolitych karmelków.

Kiedy padał deszcz i nasze miasteczko tonęło w błocie, chroniłem się u nich, żeby zapomnieć o naszych czystych, cichych pokojach, w których zawsze panowały porządek i surowość. Czułem, że tu mogą się zdarzyć rzeczy, na które w domu nie ma żadnych szans.

Rodzinę odwiedzał porucznik strzelców, elegancki czarnowłosy chłopak, który zalecał się do Stefánii, najstarszej z córek. Był cesarsko-królewskim szambelanem, na balach wydawanych przez nadzupana nosił na plecach złoty szambelański klucz. Kochali się od

lat, ale zaręczyn, nie wiadomo dlaczego, wciąż jeszcze nie było. Wieczorem porucznik całował dłoń dziewczyny i wówczas stawał się kredowobiały, jakby był śmiertelnie chory. Czuło się wokół niego przyjemny zapach wody do włosów. Oboje opierali się łokciami na fortepianie i całymi godzinami milczeli.

Malvin miała wielu konkurentów, wśród nich amanta miejscowego teatru, który nosił cylinder. A do Krisztiny pewien prawnik pisał wiersze.

Ojca, hrabiego Martiniego, widywałem rzadko, bo na ogół był w podróży, to na prowincji, to za granicą, ale niczego nie wiedziałem o celach jego wojaży. Przyjeżdżał na kilka godzin i już następnego dnia kazał zaprzęgać, jechał na stację, by udać się w kolejną podróż. Kiedy wracał, był bardzo zmęczony. W takich razach rodzina otaczała go ceremonialnie, obsypywała czułościami, smażono dla niego mięso. Wszyscy się gorączkowali, a on stał na środku pokoju, oczy mu płonęły, a kędzierzawe gęste loki opadały na twarz. Całował żonę w czoło i z rewerencją prowadził ją do stołu.

– Terézia – mówił – proszę pozwolić. – Zwracali się do siebie w trzeciej osobie, co bardzo mi się podobało.

Károly twierdził, że w takich razach wraca od króla. Ale kiedy zapytałem jego ojca, czy to prawda, nie odpowiedział, tylko surowo spojrzął na syna.

– Milcz, synku – przywołał go do porządku, a rubin w jego szpilce do krawata groźnie zaiskrzył.

Ojciec jadł, przyniesiono wino i prędko zgromadziło się wokół niego większe towarzystwo krewnych, których nie znałem. Bo wciąż zjawiali się nowi. Wujaszek Kálmán z nosem czerwonym od wina siedział obok smutny i naradzał się z nim cicho, by inni nie usłyszeli. A wujaszek Géza, który pisze powieści Jókaiego, co chwila ziewał.

Przejeżdżali główną ulicą miasta własnym powozem, dziewczęta były wystrojone, a kto odwiedzał nasze miasteczko, słyszał tylko o nich. Widywano je na korso, na dobroczynnych jarmarkach, w łóżach teatru, trzy panny Martini brały też udział w żywych obrazach przed pewnym amatorskim przedstawieniem, gdzie przystrojone w anielskie skrzydła symbolizowały Wiarę, Nadzieję i Miłość. Na wystawach fotografów królowały ich podobizny. Przedstawiane były w najrozmaitszych sytuacjach, w strojach podróżnych, z parasolką pod pachą, z rozpuszczonymi włosami i pogrążone w modlitwie, zamyślane na papierowej skale z morzem w tle, na huśtawce, na koniu, z kwiatami i ze szpicrutą, palące papierosy i grające na fortepianie, w paradnych perukach i kostiumach z epoki rokoko, ze zmęczonym, zblazowanym uśmiechem na wargach. Naśladowały je nawet aktorki. A mężczyźni doznawali skurczu serca, gdy przechodzili obok tych fotografii.

Wieczorami na korso wielu młodych oficerów ustawiło się przed pannami w szpaler.

Ci, którzy o nich marzyli, przedstawiali się i zawierali znajomość. Miłość nie była już zjawiskiem wyjątkowym. Siała spustoszenie z siłą epidemii i wielu łapało ją na ulicy, jak dżumę. Pod oknami hrabianek co wieczór słyszało się serenady.

Naturalnie królowały także na balach. Zjawiały się w takich samych sukienkach z niebieskimi, liliowymi i różowymi szarfami. Cesarsko-królewski szambelan milcząco stał obok Stefánii. Z tej wielkiej miłości wychudł i szerniał. Malvin tańczyła bez przerwy, z zamkniętymi oczami. A Krisztina pozwoliła zapisać swój wachlarz rozmaitymi szalonymi wyznaniem.

Po kilkutygodniowej przerwie ojciec wrócił do domu.

Zaledwie pięć minut po nim zjawilo się tam dwóch panów, którzy pragnęli z nim pomówić w ważnej i niecierpiącej zwłoki sprawie.

Początkowo nie chciano ich wpuścić, ale kiedy nalegali, wprowadzono ich do gabinetu ojca.

Myślano, że to sekundanci.

Obaj panowie jak najuprzejmiej przedstawili się hrabiemu. Byli to detektywi i mieli ze sobą nakaz aresztowania, albowiem towarzystwo ubezpieczeniowe, którego był agentem, złożyło doniesienie w sprawie niezapłacenia przez niego kilkuset tysięcy koron, i to pomimo ponawianych monitów.

Hrabia wysłuchał detektywów z uśmiechem, a ponieważ obracał się w najwytworniejszych kręgach i znał się na formach, założył monokl i zaczął mówić przez nos:

– To zapewne jakieś nieporozumienie – oświadczył. – Sprawa całkowicie niepojęta.

Zamknął drzwi gabinetu i poprosił gości, by usiedli. Wyjął z biurka dwa hawańskie cygara w szklanych fiolkach i położył przed policjantami, ale oni nie sięgnęli po nie. Nalał też koniaku i likieru.

– Mój przyjaciel Ernó... – zaczął, wspominając kapitana policji, z którym razem spędził dzieciństwo.

Ale dyskusja skończyła się tym, że po półgodzinie hrabia wsiadł do czekającego na ulicy powozu i jakby udawał się tylko na przejażdżkę, pojechał na policję. Do tego czasu matka zdążyła się ubrać i popędziła do nadzupana, a pół godziny później zapłakana Stefania naradzała się z dyrektorem miejscowego banku.

W południe ojciec wrócił do domu.

– Chodzi tylko o dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron – wyszeptał. – Ale tę sumę należy złożyć bezzwłocznie.